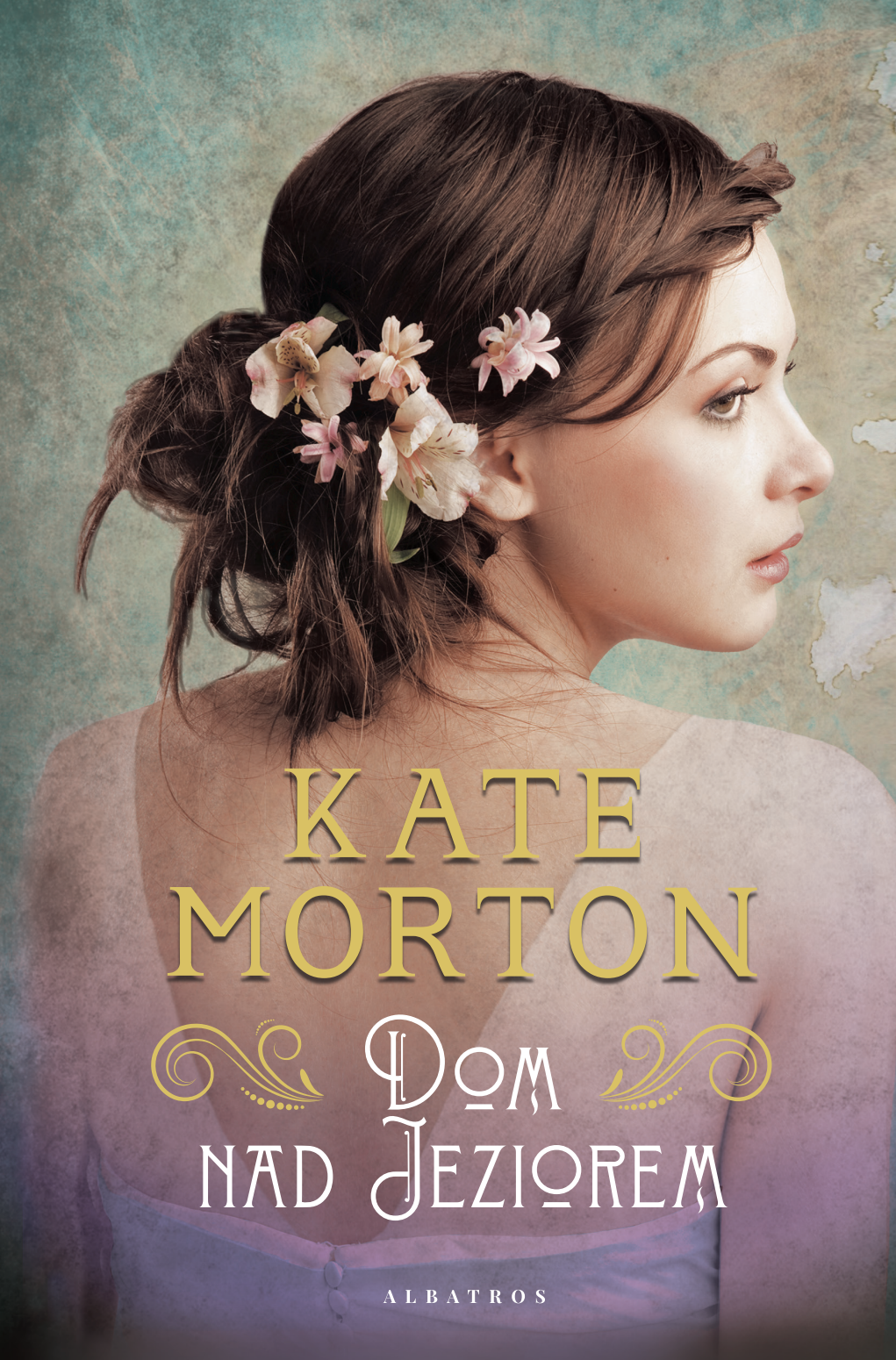




KATE
MORTON

DOM
NAD JEZIOREM

ALBATROS

1

Kornwalia, sierpień 1933

Padał rzęsimy deszcz i rąbek jej sukni unurzał się w błocie. Będzie musiała ją potem ukryć, nikt się nie może dowiedzieć, że wychodziła.

Księżyc skrył się za chmurami. Nie zasłużyła na ten łut szczęścia, mimo to przedzierała się przez gęsty mrok najszybciej, jak mogła. Była tu wcześniej, aby wykopać dół, lecz dopiero teraz, pod osłoną nocy, mogła dokończyć pracę. Krople deszczu usiały cętkami powierzchnię potoku z pstrągami, bębniły nieustępliwie o ziemię wokół strumienia. Coś przemknęło w gąszczu paproci, ale nawet się nie skuliła, nie zatrzymała. Biegała po tym lesie przez całe życie, znała na pamięć każdą ścieżkę.

Z początku, kiedy to się stało, zastanawiała się, czy nie wyznać prawdy, i wtedy może nawet mogła to jeszcze zrobić. Przegapiła jednak szansę i teraz już było za późno. Za dużo się wydarzyło: policja, ekipy poszukiwawcze, artykuły w gazetach z prośbami o informacje. Nikomu nie może już powiedzieć, niczego nie da się naprawić, nie wybaczyliby jej. Mogła zrobić tylko jedno – zagrzebać dowody najgłębiej, jak się da.

Dotarła do upatrzonego miejsca. Worek z pudełkiem był zaskakująco ciężki i z ulgą położyła go na ziemi. Na czworakach odsunęła gałęzie paproci, które maskowały dół. W powietrzu unosił

się przenikliwy zapach rozmięklej ziemi, leśnych myszy, grzybów i próchnicy. Tata powiedział jej kiedyś, że po tych lasach chodzą całe pokolenia ludzi i większość z nich leży pogrzebana w tej ziemi. Wiedziała, że ojciec lubi tak myśleć. Znajdował pociechę w nieprzerwanym trwaniu natury, wierzył, że dla człowieka, który musi się zmagać z teraźniejszością, ciągłość przeszłości i historii ma kojącą moc. Może niekiedy rzeczywiście tak było, lecz nie tym razem. Nie w takiej sytuacji jak ta.

Wsunęła worek do otworu i przez chwilę wydawało jej się, że księżyc wyjrzał zza chmur. Łzy nabiegały jej do oczu, kiedy nagarniała z powrotem ziemię, ale je powstrzymała. Nie może sobie teraz pozwolić na słabość. Uklepała ziemię rękami, a potem wstała i z zapamiętaniem zaczęła ją ugniatać nogami, aż zabrakło jej tchu.

Sprawa zamknięta.

Przyszło jej na myśl, że zanim opuści to odosobnione miejsce, powinna coś powiedzieć, coś na temat utraconej niewinności i wyrzutów sumienia, które nie odstąpią jej do końca życia. Nie zrobiła tego jednak i zawstydziła się tej myśli.

Wracając szybko przez las, starannie ominęła z daleka chatę na łodzie i związane z nią wspomnienia. Kiedy dotarła do domu, zaczęło już świtać, a deszcz zamienił się w mżawkę. Woda jeziora chlupotała lekko o brzeg, ostatnie słowiki śpiewały pożegnalne pieśni, tu i ówdzie przechadzały się pokrzewki i cierniówki, w oddali zarżał koń. Wtedy jeszcze tego nie wiedziała, ale nigdy nie uwolni się od tych dźwięków; podążą za nią w przyszłość, będą nawiedzać jej sny i nigdy nie przestaną przypominać, co zrobiła.

2

Kornwalia, 23 czerwca 1933

Najpiękniejszy widok na jezioro roztaczał się z Pokoju Morwowego, ale Alice zdecydowała się na okno w łazience. Pan Llewellyn nie wrócił jeszcze znad potoku ze swoimi sztalugami, lecz wcześniej udawał się na spoczynek, wołała więc nie ryzykować spotkania. Staruszek był dość nieszkodliwy, ale ekscentryczny, i ciągle czegoś potrzebował, szczególnie ostatnimi czasy. Obawiała się, że jeśli niespodziewanie zastanie ją w swoim pokoju, mylnie to zrozumie. Zmarszczyła nos. Przepadała za nim, gdy była młodsza, on też ją uwielbiał. Teraz, kiedy miała szesnaście lat, dziwnie było myśleć o jego opowieściach, rysunkach, którymi w przeszłości się zachwycała, o niesamowitej atmosferze cudowności, jaką wokół siebie roztaczał. W każdym razie łazienka była bliżej niż Pokój Morwowy, a ponieważ za kilka minut mama się zorientuje, że w pokojach na pierwszym piętrze brakuje kwiatów, Alice nie mogła tracić czasu na wchodzenie po schodach. Podczas gdy stadko pokojówek wymachujących szmatkami do polerowania uwijało się z przejęciem po holu, wślizgnęła się przez drzwi do łazienki i podbiegła do okna.

Ale gdzie on się podział? Ścisnęło ją w żołądku, w jednej chwili podniecenie zamieniło się w rozpacz. Przyłożyła ciepłe dłonie do szyby i przeszukiwała wzrokiem krajobraz za oknem: kremowe i bladoczerwone róże, płatki błyszczące, jakby je wypolerowano,

wspaniałe brzoskwinie przytulone do muru otaczającego ogród, podłużne srebrne jezioro połyskujące w porannym blasku. Cały majątek został ostatnio sprzątnięty i wypielęgnowany do stanu absolutnej perfekcji, mimo to wszędzie nadal panowała gorączkowa krzątanina.

Wynajęci muzycy ustawiali pozłacane krzesła na zmontowanej scenie, na podjeździe sznur samochodów dostawczych wzbijał tułmany kurzu, na wpół rozłożone markizy wydymały się na wietrze. Jedynym nieruchomym akcentem w całym tym rojnym rozgardiaszu była drobna, zgarbiona sylwetka babci deShiel, która siedziała na ozdobnej żelaznej ławce pod oknem biblioteki, pogrążona w pajęczynie własnych wspomnień, i nie zwracała najmniejszej uwagi na to, że wokół rozwieszają na drzewach kuliste szklane latarnie...

Alice wstrzymała raptownie oddech.

Jest.

Uśmiech rozlał się na jej twarzy, zanim zdążyła go powstrzymać; ogarnęła ją rozkoszna radość, kiedy go zauważyła na maleńkiej wysepce na środku jeziora, z wielką drewnianą belą kołyszącą się na ramieniu. Mimowolnie podniosła dłoń, żeby mu pomachać, lecz był to głupi impuls, zwłaszcza że nie patrzył w jej kierunku, a nawet gdyby patrzył, na pewno by nie odpowiedział. Oboje zdawali sobie sprawę, że muszą zachować większą ostrożność.

Jej dłoń trafiła na kosmyk wiecznie opadający przy uchu i zaczęła przeplatać włosy między palcami. Lubiła go potajemnie obserwować. Dawało jej to poczucie władzy, nie tak jak wtedy, gdy byli razem, kiedy przynosiła mu lemoniadę do ogrodu lub przekradała się do dalekich zakątków majątku, aby go zaskoczyć przy pracy. Gdy wypytywał o jej powieść, rodzinę, życie, a ona opowiadała mu różne historie, z których się śmiał, i musiała się bronić ze wszystkich sił, żeby nie zatracić się w tych głębokich, zielonych oczach ze złocistymi cętkami.

Patrzyła, jak się pochyla, jak przystaje, żeby poprawić sobie kłode kołyszącą się na ramieniu, a następnie kładzie na stercie pozo-

stałych. Był silny. To dobrze. Nie wiedziała dlaczego, ale miało to znaczenie dla jakiegoś głęboko ukrytego, niezbadanego miejsca w jej duszy. Zarumieniła się, aż zapiekły ją policzki.

Alice Edevane nie należała do nieśmiałych dziewcząt. Znała przedtem chłopców, wprowadzie niewielu – z wyjątkiem tradycyjnego przyjęcia w noc świętojańską jej rodzice słynęli z tego, że woleli własne towarzystwo – lecz czasem udawało jej się zamienić kilka słów z okolicznymi wieśniakami lub synami dzierżawców, którzy międląc w rękach czapki, chodzili za ojcami po majątku ze spuszczoneymi oczami. Ale to... to było... po prostu coś innego, chociaż wiedziała, jak banalnie to brzmi, jakby wyjęła to z ust swojej siostry Deborah, tak się jednak składało, że była to prawda.

Nazywał się Benjamin Munro. Powtarzała bezgłośnie sylaby. Benjamin James Munro, lat dwadzieścia sześć, przyjechał z Londynu. Nie miał nikogo na utrzymaniu, ciężko pracował, nie lubił czej gadaniny. Urodził się w Sussex, ale dorastał na Dalekim Wschodzie, gdzie jego rodzice byli archeologami. Lubił zieloną herbatę, zapach jaśminu oraz gorące dni, kiedy zbierało się na deszcz.

Oczywiście nie dowiedziała się tego wszystkiego od niego. Nie należał do mężczyzn, którzy gadają w kółko o sobie i swoich osiągnięciach, jakby dziewczyna była ładną buzią tkwiącą między zasłuchanymi uszami. Alice obserwowała i gromadziła informacje, a kiedy nadarzyła się okazja, wkradła się do magazynu, żeby sprawdzić księgę prac ogrodniczych. Lubiła bawić się w detektywa i po krótkich poszukiwaniach na odwrocie skrupulatnych notatek pana Harrisa na temat sadzonych roślin znalazła przypięte podanie o pracę Benjamina Munro. Było krótkie i zwięzłe, sporządzone charakterem pisma, który wzbudziłby głęboką dezaprobatę mamy. Alice przestudiowała całe, zapamiętała najważniejsze fragmenty, z miłym dreszczykiem wczuwała się w słowa przydające głębi i koloru wizerunkowi, który stworzyła i przechowywała niczym kwiat wsunięty między stronicę książki. Tak jak ten, który od niego dostała w zeszłym miesiącu.

– Spójrz, Alice. – W jego szerokiej, silnej dłoni zielona łodyżka wydawała się taka krucha. – Pierwsza gardenia w tym roku.

Uśmiechnęła się na to wspomnienie i sięgnęła do kieszeni, żeby pogłodzić skórzaną okładkę notesu. Ten nawyk, który doprowadzał mamę do szału, pozostał jej z dzieciństwa, od czasu gdy na ósme urodziny dostała swój pierwszy zeszyt. Jakże uwielbiała tę orzechowobrazową księgę! Jakże mądrze tata postąpił, kiedy ją jej ofiarował. On również prowadził dziennik – oznajmił z powagą, którą Alice doceniała i podziwiała. Pod czujnym okiem mamy otworzyła zeszyt i na stronie tytułowej w linii koloru jasnej sepii powoli napisała swoje imiona i nazwisko – Alice Cecilia Edevane. Od razu poczuła się bardziej realna, bardziej prawdziwa niż kiedykolwiek przedtem.

Mama strofowała ją za ten zwyczaj głaskania trzymanego w kieszeni notatnika, ponieważ wyglądała wtedy „jak mała szachrajka, która wiecznie coś knuje”, lecz Alice uznała, że ta charakterystyka wcale jej nie przeszkadza, a dezaprobata mamy odnosiła odwrotny skutek. Alice i tak sięgałaby do notesu, nawet gdyby to nie wywoływało niezadowolonego grymasu na pięknej twarzy Eleanor Edevane. Był jej talizmanem, przypominał, kim jest. Był również jej najbliższym powiernikiem w sprawach Bena Munro.

Minął prawie rok od czasu, gdy zobaczyła go po raz pierwszy. Przyjechał do Loeanneth pod koniec lata 1932 roku. Opadły już wszystkie emocje świętojańskiego przyjęcia i nie pozostało nic do roboty poza poddaniem się sennym upałom. Majątek pogrążył się w niebiańskiej atmosferze gnuśnego spokoju i nawet mama w ósmym miesiącu ciąży z różowymi wypiekami na twarzy rozpiniała wyszywane perłami mankiety i zawijała rękawy do łokci.

Tego dnia Alice siedziała na huśtawce pod wierzbą i kołysała się leniwie, rozmyślając nad swoją Ważką Kwestią. Gdyby się wsłuchiwała w otaczające ją dźwięki, usłyszałyby odgłosy życia rodzinnego: mamę z panem Llewellynem śmiejącą się w oddali przy wtórze rytmicznych uderzeń wiosła; Clemmie mrużącą pod nosem i wirującą na łące z ramionami rozpostartymi niczym skrzydła; Deborah

relacjonując niani Rose najnowsze londyńskie skandale. Lecz Alice, skupiona wyłącznie na sobie, nie słyszała niczego poza łagodnym buczeniem letnich owadów.

Siedziała w tym miejscu już od godziny i nie zauważyła nawet, że jej nowe pióro wykrwawia się czarnym atramentem na białą bawełnianą sukienkę, kiedy wyłonił się z ciemnego zagajnika na zalany słońcem podjazd. Na ramieniu niósł płócienną torbę, w rękę trzymał coś, co wyglądało na płaszcz. Szedł sprężystym i tak zdecydowanym krokiem, że huśtawka Alice dostroiła się do jego rytmu. Dziewczyna oparła policzek o drapiący sznur i obserwując, jak się zbliża, próbowała przebić wzrokiem płaczące gałęzie wierzby.

Ludzie zwykle nie zjawiali się w Loeaneth niespodziewanie, głównie za sprawą kapryśnej topografii. Majątek leżał w głębokiej dolinie, otoczony lasami pełnymi gęstych zarośli kolczastego wrzośca, zupełnie jak domy w bajkach dla dzieci. (Oraz, jak się okazało, w koszmarach sennych, chociaż tego Alice jeszcze wtedy nie wiedziała). To była ich własna Słoneczna Dolina, dom od pokoleń należący do deShielów, przodków jej matki. I oto w samym środku tej ukrytej doliny zjawiał się, jak gdyby nigdy nic, ten nieznajomy i popołudniowy urok prysł w jednej chwili.

Alice była z natury wyjątkowo ciekawska, co ludzie powtarzali jej przez całe życie, a ona traktowała jako komplement – zamierzała z tej cechy zrobić dobry użytek – lecz tego dnia jej zainteresowanie bardziej wynikało z nudy i braku rozrywki niż z zaciekawienia. Przez całe lato pracowała zawzięcie nad powieścią o namiętności i zbrodni, ale od trzech dni praca utknęła w martwym punkcie. Winna była temu jej heroina, Laura, która po rozdziałach poświęconych jej bogatemu życiu wewnętrznemu odmówiła nagle współpracy. Stanąwszy oko w oko z wysokim, ciemnowłosym i oszałamiająco przystojnym dżentelmenem, lordem o fantazyjnym nazwisku Hallington, ni stąd, ni stąd utraciła cały dowcip i polot i zamieniła się w nierozgarniętą gąskę.

No cóż, pomyślała Alice, obserwując młodego mężczyznę na

podjeździe, Laura będzie musiała poczekać. Na razie nastreczają się inne Ważkie Kwestie.

Po terenie majątku wił się, szemrząc, wąski potok, który na tym odcinku zażywał przyjemnej słonecznej kąpieli, zanim zatoczywszy się szerokim łukiem, nieuchronnie ginął z powrotem w głębi lasu. Przepływał pod kamiennym mostkiem, pozostawionym przez jakiegoś zapomnianego przodka, otwierającym drogę do Loeanneth. Nieznajomy dotarł do mostu i przystanął. Odwrócił się powoli w kierunku, z którego przyszedł, po czym spuścił wzrok na coś, co trzymał w dłoni. Karteczkę? Grę światła? Sposób, w jaki przekrzywiał głowę, w jaki przyglądał się leśnej kniei, świadczył o głębokim namyśle i Alice aż zwęziły się oczy, kiedy go obserwowała. Była pisarką, rozumiała ludzi, umiała rozpoznać ich bezradność. Co wzbudziło jego niepewność i dlaczego? Znów się obrócił, podniósł dłoń do czoła i popatrzył wzdłuż podjazdu w kierunku domu stojącego pod strażą wiernych cisów. Nie poruszył się, zdawało się nawet, że nie oddycha, po czym na jej oczach położył na ziemi torbę i płaszcz, poprawił szelki aż do żabek przy spodniach i westchnął.

W tym momencie Alice doznała przeblysku niezachwianej pewności, jakie czasami jej się zdarzały. Nie była pewna, skąd się u niej bierze ta umiejętność czytania ludzkich umysłów, lecz owe chwile przenikliwego wtajemniczenia spływały na nią niespodziewanie, w pełni uformowane, i nie budziły najmniejszych wątpliwości. Po prostu niekiedy pewne rzeczy wiedziała. Tym razem to mianowicie, że przybysz nie przywykł do takich miejsc jak Loeanneth. Szedł jednak na spotkanie z przeznaczeniem i chociaż coś mu szeptało do ucha, aby zawrócić i opuścić majątek, zanim jeszcze się w nim pojawił, nie mógł odwrócić się plecami do tego, co nieuchronne. Była to upajająca perspektywa i Alice podświadomie ścisnęła mocniej sznur od huśtawki, bo myśli w jej głowie zaczęły się nagle przepychać jedna przez drugą, podczas gdy ona czekała na następny ruch nieznajomego.

Zgodnie z jej przewidywaniami, mężczyzna wziął do ręki

płaszcz, zarzucił torbę na ramię i ruszył dalej podjazdem w stronę ukrytego domu. W jego zachowaniu można było teraz wyczuć nową determinację i zapewne w oczach ludzi nieświadomych sprawiał wrażenie człowieka zdecydowanego, dla którego czekające go zadanie nie przedstawia żadnych trudności. Alice uśmiechnęła się z zadowoleniem, a wtedy uderzyła ją pewna myśl z tak oślepiającą jasnością, że omal nie spadła z huśtawki. W tej samej chwili, kiedy zobaczyła plamę z atramentu na sukience, ujrzała rozwiązanie Ważkiej Kwestii. Przecież to takie oczywiste! Laura, która mierzyła się z przyjazdem jej własnego intrygującego nieznajomego, również obdarzona większą spostrzegawczością niż większość ludzi, z pewnością przeniknęłaby wzrokiem grę pozorów i odkryła jego przerażający sekret, jego zbrodniczą przeszłość, i wyszeptałaby w ciszy, kiedy miała go tylko dla siebie...

– Alice?

Alice podskoczyła i uderzyła policzkiem o drewnianą futrynę.

– Alice Edevane! Gdzie ty się podziewasz?

Rzuciła okiem w stronę zamkniętych drzwi łazienki. Przyjemne wspomnienia poprzedniego lata, upajającego dreszczu pierwszych miłosnych poruszeń, pierwszych spotkań z Benem, a także fascynujący i odurzający splot ich historii z jej powstającą powieścią roztrząsały się z brzękiem na podłodze. Mosiężna klamka zadrżała lekko od tupotu energicznych kroków na korytarzu i Alice wstrzymała oddech.

Przez cały tydzień mama chodziła jak kłębek nerwów. Nie była urodzoną duszą towarzystwa, lecz przyjęcie świętojańskie stanowiło w majątku deShielów rodzinną tradycję, a Eleanor bardzo kochała swego ojca, Henriego, tak więc święto urządzano co roku, by uczcić jego pamięć. Nieodmiennie wpadała w okropny młyn, lecz tym razem było jeszcze gorzej niż zwykle.

– Wiem, że tu jesteś, Alice. Deborah widziała cię kilka minut temu.

Deborah – starsza siostra, nieosiągalny wzór i największe zagro-

zenie. Alice zazgrzytała zębami. Jakby nie wystarczało, że jej matka jest słynna, uwielbiana Eleanor Edevane, to jeszcze ona, Alice, musiała się urodzić po swojej starszej siostrze, która była niemal tak samo doskonała! Piękna, inteligentna, zaręczona z najlepszą partią sezonu... Dobrze chociaż, że Clementine zjawiała się po niej i była tak osobliwym patykowatym dziewczętakiem, że nawet Alice mimo woli czuła się w porównaniu z nią... normalna.

Podczas gdy mama niczym burza szalała na korytarzu, a Edwina człapała za nią jak cień, Alice uchyliła okno i wystawiła twarz na powiew ciepłego powietrza, pachnącego świeżo skoszoną trawą i morską solą. Edwina jako jedyna (może dlatego, że była golden retrieverem, a nie człowiekiem) mogła wytrzymać z mamą w tym stanie. Nawet biedny tata uciekał na poddasze, aby cieszyć się cichym towarzystwem swego wiekopomnego dzieła z historii naturalnej. Eleanor Edevane była bowiem perfekcjonistką i każdy drobiazg przyjęcia świętojańskiego musiał spełniać jej najsurowsze wymagania. Chociaż Alice ukrywała ten fakt głęboko pod powierzchnią krnąbrnej obojętności, przez długi czas zadreślała się myślą, że tak bardzo zawiodła nadzieje matki. Patrzyła z rozpaczą w lustro na swoje zbyt wysokie ciało, niesforne, mysioszare włosy i ubolewała nad własnym upodobaniem do towarzystwa wymyślonych ludzi.

Lecz to było kiedyś. Uśmiechnęła się, gdy Ben wrzucił kolejną belkę na szybko rosnący stos. Może nie była tak czarująca jak Deborah i z pewnością nie zostanie uwieczniona w uwielbianej książeczce dla dzieci tak jak jej matka, ale to nie miało znaczenia. Była inna.

– Jesteś pisarką, Alice Edevane – powiedział jej Ben pewnego późnego popołudnia, kiedy rzeka mijала ich z chłodnym prądem, a gołębie powracały do gołębnika. – Nigdy wcześniej nie spotkałem osoby o tak żywej wyobraźni, tak pełnej wspaniałych pomysłów.

Mówił łagodnym głosem i patrzył na nią przenikliwie. Alice ujrzała wtedy siebie jego oczami i spodobało jej się to, co zobaczyła.

Głos mamy minął drzwi łazienki – coś jeszcze na temat kwiatów – po czym ucichł za załomem korytarza.

– Tak jest, najdroższa mamusiu – mruknęła Alice z rozkoszną protekcyjnością w głosie. – Nie ma potrzeby miotać się jak nogawki pantalonów.

Było coś fascynująco świętokradczego w przywoływaniu wizji bielizny Eleanor Edevane i Alice musiała zasłonić usta dłonią, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

Spojrzawszy ostatni raz w stronę jeziora, wyszła z łazienki i na paluszkach pomknęła do swojego pokoju, żeby spod materaca wydobyć bezcenny notatnik. Uważając, aby w pośpiechu nie potknąć się o wytarty czerwony dywan perski, który dziadek Horace przywiózł ze swych wojaży po Bliskim Wschodzie, zbiegła na dół po dwa stopnie naraz, chwyciła kosz stojący na stole w holu i wybiegła na nowo narodzony dzień.



Pogoda była idealna. Idąc kamienną ścieżką, Alice nie mogła się powstrzymać, aby nie nucić pod nosem. Kosz był w połowie wypełniony, a nawet jeszcze nie doszła do łąki, gdzie rosły najpiękniejsze kwiaty – polne uroczę niespodzianki, w przeciwieństwie do przewidywalnych i narcystycznych ogrodowych pyszałków – Alice czekała jednak na stosowną okazję. Przez cały ranek unikała mamy, czekała, aż pan Harris pójdzie na przerwę śniadaniową, aby zostać z Benem sam na sam.

Kiedy widzieli się ostatnio, powiedział, że coś dla niej ma, i Alice wybuchła śmiechem. Odpowiedział tym swoim półśmiechem, na widok którego miękły jej kolana, i spytał:

– Co cię tak rozśmieszyło?

Wyprostowała się i oznajmiła, że zupełnie przypadkiem ona również coś dla niego ma.

Przystanęła na końcu kamiennej ścieżki pod największym ciemem, przyciętym starannie na przyjęcie, tak że iglaste gałęzie tworzyły zwarty gąszcz. Wyrzała zza gałęzi. Ben był nadal na wyspie, a pan Harris na przeciwnym końcu jeziora pomagał swojemu sy-

nowi Adamowi przygotowywać kłody do przewiezienia łodzią na drugą stronę. Biedny Adam. Alice obserwowała, jak drapie się za uchem. Pani Stevenson mówiła, że był kiedyś chlubą rodziny – postawny, silny, bystry – dopóki pod Passchendaele odłamek szrapnela nie trafił go w głowę i nie spowodował upośledzenia umysłowego.

– Wojna to straszna rzecz – powtarzała kucharka, waląc wałkiem w Bogu ducha winną bryłę ciasta. – Weźmie ci takiego zuch-chłopaka, przeżuje jak krowa i wypłuje kompletnego półgłówka.

Jedynym pocieszeniem, według pani Stevenson, był fakt, że sam Adam nie zdawał sobie z tego sprawy, wręcz wydawał się pogodniejszy niż dawniej.

– Nie zawsze tak jest – dodawała, zdradzając szkocki pesymizm drzemiący na dnie jej duszy. – Inni, jak wracają, to całkiem wydrążeni z wesołości.

To tata nalegał, żeby zatrudnić Adama w majątku.

– Ma u nas zapewnioną pracę do końca życia – usłyszała, jak mówił kiedyś do pana Harrisa głosem zduszonym od wzruszenia. – Mówiłem ci już dawno: w tym majątku zawsze znajdzie się miejsce dla młodego Adama, gdy tylko będzie go potrzebował.

Alice usłyszała koło lewego ucha cichy furkot, poczuła delikatny oddech wiatru na policzku. Spojrzała na ważkę unoszącą się w powietrzu na peryferiach jej pola widzenia – rzadki okaz szablaka żółtego. Ogarnęła ją fala dawnego podniecenia, wyobraziła sobie tatę siedzącego w gabinecie, ukrywającego się przed mamą i jej świętojańskim szaleństwem. Alice mogłaby złapać ważkę, pobiec na górę i ofiarować tacie do kolekcji, a potem pławić się w przejawach podziwu i zadowolenia i czuć się wywyższoną, tak jak w dzieciństwie, kiedy przywilej wstępu do pachnącego kurzem pokoju, pełnego książek, białych rękawiczek i szklanych gablotek, wystarczał, aby zamknąć oczy na przerażające srebrne szpilki.

Lecz oczywiście nie miała teraz czasu, aby biec na górę ani nawet o tym myśleć. Zmarszczyła brwi. Czas miał fascynujący zwyczaj zmieniania kształtu, kiedy jej umysł pochłaniały jakieś sprawy.

Spojrzała na zegarek. Dziesięć po dwunastej, za dwadzieścia minut główny ogrodnik pójdzie jak co dzień do swojej szopy na kanapki z serem i korniszonami, po których oddawał się studiowaniu wyników wyścigów. Pan Harris był niewolnikiem nawyków, i tym razem Alice to doceniała.

Zapominając o ważce, przeszła szybkim krokiem na drugą stronę ścieżki i po cichu zaczęła się przekradać wokół jeziora. Ominęła z daleka grupę robotników krzątających się wokół wymyślnych urządzeń do sztucznych ogni i trzymała się cienia, dopóki nie doszła do Ogrodowej Dolinki. Usiadła na rozgrzanych stopniach starej fontanny i postawiła koszyk obok siebie. To był doskonały punkt obserwacyjny – żywopłot z głogu zapewniał skuteczną osłonę, a jednocześnie przez szparki między liśćmi mogła całkiem dobrze widzieć nowe moło.

Czekając, kiedy Ben zostanie sam, przyglądała się parze gawronów kotłujących się na tle morskiego błękitu nieba. Jej wzrok zatrzymał się na ścianie domu, gdzie mężczyźni na drabinach przyozdabiali ceglany mur zielonymi wieńcami, a pokojówki pracownice zawieszały pod gzymsami delikatne papierowe lampiony. Słońce oświetliło górny rząd okien i rodzinna rezydencja, wypucowana na najwyższy połysk, błyszcziała niczym stara matrona obwieszona biżuterią na swój doroczny wieczór w operze.

Wezbrała w niej fala uczuć. Od kiedy pamiętała, dom i ogrody Loeanneth żyły i oddychały dla niej w sposób, jakiego nie rozumiały jej siostry. Podczas gdy Deborah marzyła o wielkim Londynie, Alice nigdzie nie czuła się równie szczęśliwa jak tutaj, siedząc nad brzegiem potoku, machając nogami, mocząc palce w leniwym strumieniu, leżąc w łóżku przed świtem i nasłuchując odgłosów ruchliwego życia rodziny jerzyków, które uwiły sobie gniazdo nad jej oknem, włócząc się wokół jeziora z notesem niezmiennie wetkniętym pod pachę.

Miała siedem lat, kiedy zrozumiała, że pewnego dnia dorosnie, a dorośli zwykle nie mieszkają w domu rodziców. Otworzyła

się przed nią otchłań egzystencjalnej grozy. Zaczęła wycinać swoje imię w każdym miejscu, jakie jej przyszło do głowy – w twardej dębowej okiennicy bawialni, w zaprawie cementowej między płytami zbrojowni, na tapecie w przedsionku – jakby w ten sposób mogła się związać z tym miejscem bardziej namacalnie i trwale. Przez całe lato nie dostawała puddingu, kiedy mama odkryła te szczególnie przejawy afektu. Zniosłaby bez bólu tę karę, gdyby nie to, że oskarżenia o rozpasany wandalizm były takie niesprawiedliwe!

– Sądziłam, że akurat po tobie można się spodziewać więcej szacunku dla tego domu – syknęła mama, blednąc ze złości. – Trudno mi uwierzyć, że moje dziecko może okazywać takie lekceważenie i niedbałość, że stać je na tak okropny i bezmyślny wybryk!

Zarzuty te złamały Alice serce. Jej żarliwą potrzebę posiadania sprowadzono do zwyczajnego psikusa!

Dzisiaj jednak te sprawy nie miały już znaczenia. Dziecięca fiksjacja odeszła w przeszłość. Alice wyciągnęła przed sobą nogi, rozprostowała palce i westchnęła z głębokim zadowoleniem. Wszechobecne słońce połyskiwało złociście na jaskrawozielonych liściach ogrodu. Kapturka ukryta w listowiu wierzby wyśpiewywała cudne fanfary, a dwie dzikie kaczki biły się o dorodnego ślimaka. Orkiestra robiła próby i grała fragmenty muzyki tanecznej, dźwięki muskały powierzchnię jeziora. Dopisało im prawdziwe szczęście, że dzień wstał taki piękny. Po tygodniach dręczących wątpliwości, analizowania poranków, zasięgania porady Tych Którzy Powinni Wiedzieć, wzeszło słońce i wypaliło każdą ociągającą się chmurkę, dokładnie tak, jak powinno być w wigilię nocy świętojańskiej. Wieczór będzie ciepły, powieje lekki wietrzyk, przyjęcie zapowiadało się czarujące jak zawsze.

Alice doświadczyła magii świętojańskiej na długo, zanim dorosła na tyle, by brać udział w przyjęciu, w czasach gdy niania Bruen sprowadzała na dół wszystkie trzy dziewczynki, ubrane w najładniejsze sukieneczki, i ustawiała je w rzędzie do prezentacji. Przyjęcie przeżywało trudne początki, wystrojeni goście zachowywali się z

posągowym dostojęństwem, czekając, aż zapadnie zmrok, lecz później, kiedy wszyscy myśleli, że Alice śpi, ona nasłuchiwała, aż oddech niani się wyrówna i nabierze sennej głębi, po czym podkradała się do okna, wdrapywała na krzesło i klękała, aby podziwiać lampiony nabrzmiałe niczym dojrzewające przez noc owoce, ryczące ognisko, które zdawało się unosić na wodzie posrebrzonej blaskiem księżycy – cały ten czarodziejski świat, gdzie ludzie i miejsca przypominali tych, których pamiętała, lecz nie byli całkiem tacy sami.

A dzisiaj, w tę wyjątkową noc, będzie wśród nich. Przeszedł ją dreszcz radosnego oczekiwania. Spojrzała na zegarek, po czym wyjęła z koszyka teczkę i otworzyła, aby raz jeszcze spojrzeć na jej cenną zawartość. Maszynopis był jednym z dwóch egzemplarzy, które z mozolną starannością spisała na maszynie Remingtona jako zwieńczenie całorocznej pracy. W tytule wkradł się mały błąd – przez pomyłkę wcisnęła „m” zamiast „n”, lecz poza tym wszystko wyglądało bez zarzutu. Ben się nie obrazi, pierwszy powiedziałby jej, że powinna wysłać nienaganną kopię do Victora Gollancza. Po wydaniu on dostanie drugi egzemplarz z autografem pod dedykacją.

Żegnaj, pajacyku, przeczytała półgłosem tytuł. Nadal za każdym razem, kiedy to robiła, czuła na plecach podniecający dreszcz. Była niezmiernie dumna z tej opowieści, uważała, że to najlepsza historia, jaką dotąd napisała, i miała całkiem sporą nadzieję, że uda jej się ją opublikować. Był to najprawdziwszy pod słońcem kryminał. Alice przeczytała wstęp do *Best Detective Stories*, usiadła ze swoim notatnikiem i spisała zasady wyszczególnione przez pana Ronaalda Knoxa. Zrozumiała, że popełniła błąd, próbując ożenić dwa odmienne gatunki, zamordowała więc Laurę i zaczęła od początku. Wymyśliła wiejską rezydencję, detektywa oraz dom pełen podejrzanych. Zagadka była zdradliwym zadaniem, należało bowiem ukryć przed czytelnikami, kto popełnił przestępstwo. Wtedy uznała, że potrzebuje płyty rezonansowej, Watsona, by tak rzec, dla swojego Holmesa. I szczęśliwie go znalazła. A nawet dużo, dużo więcej.

Dla B.M, współnika w zbrodni, towarzysza w życiu.

Przebiegła kciukiem po dedykacji. Kiedy powieść się ukaże, wszyscy się o nich dowiedzą, lecz Alice to nie obchodziło. Nie mogła się doczekać. Tyle razy omal jej się coś nie wyrwało w rozmowie z Deborah lub nawet Clementine, tak bardzo pragnęła usłyszeć te słowa wypowiedziane na głos, unikała natomiast tego tematu przy mamie, która żywiła pewne podejrzenia – Alice nie miała co do tego wątpliwości. Powinni się jednak dowiedzieć, gdy przeczytają jej pierwszą opublikowaną książkę.

Zegnaj, pajacyku było owocem rozmów z Benem, bez niego nie skończyłaby tej książki. Wyłuskała z powietrza ich wspólne myśli i przeniosła je na papier, a teraz uchwyciła coś ulotnego, najbardziej niematerialną ewentualność, i uczyniła ją prawdziwą. Mimo woli czuła, że ofiarowując mu ten egzemplarz, składa przyrzeczenie, które bez słów stało się jeszcze bardziej realnie. W rodzinie Edevane przyrzeczenia miały szczególną wagę. Dziewczęta nauczyły się tego od mamy, niczym sentencji wpojonej im, gdy tylko zaczęły mówić: nigdy nie składać obietnicy, której nie zamierza się dotrzymać.

Zza głogowego żywopłotu dobiegły głosy i Alice instynktownie przycisnęła maszynopis do piersi. Nasłuchiwała czujnie, po czym podeszła do zielonego ogrodzenia i wyjrzała przez romboidalną szczelinę w listowiu. Ben zniknął, a przy moło znów pojawiła się łódka, lecz Alice zauważyła, że wszyscy trzej mężczyźni stoją razem przy stercie bali. Patrzyła, jak Ben pije z menażki, obserwowała poruszające się jabłko Adama, cień zarostu na szczęce, ciemne loki sięgające kołnierzyka. Na koszuli pot zostawił wilgotną plamę i Alice poczuła ściskanie w gardle; uwielbiała jego zapach, był taki prawdziwy, przesiąknięty ziemią.

Pan Harris zebrał swoje narzędzia do torby i na odchodne wydał kilka poleceń, na które Ben pokiwał głową i lekko się uśmiechnął. Alice też się uśmiechnęła, wpatrując się w dołek na policzku, mocne barki, odsłonięte ramię połyskujące w palącym słońcu. Wyprostował się, jego uwagę przyciągnął jakiś odgłos w oddali. Alice

podążyła za jego wzrokiem, który zatrzymał się na czymś w dzikiej części ogrodu. Dopiero wtedy w płataninie pustynników i werbeny zauważyła ledwie widoczną drobniotką figurkę przedzierającą się odważnie dziarskim, kołyszącym krokiem w stronę domu. Theo. Na widok młodszego braciszka twarz Alice rozpromieniła się w uśmiechu, lecz po chwili uśmiech zgasł, bo za chłopcem podążał wielki czarny cień. Zrozumiała, dlaczego Ben marszczył brwi, miała takie samo zdanie na temat niani Bruen. Niczego w niej nie lubiła, ale w końcu nikt nie przepada za ludźmi o despotycznym charakterze. Nikt nie miał pojęcia, czemu zwolniono kochaną, śliczną nianię Rose. Rose uwielbiała Thea, hołubiła go i ją również wszyscy lubili. Nawet tata gawędził z nią czasem w ogrodzie, kiedy Theo ganiał nad wodą kaczki. A tata znał się na ludziach.

Coś jednak bardzo zdenerwowało mamę. Dwa tygodnie temu Alice widziała, jak się sprzeczały z nianią Rose przed pokojem dziecinnym. Spór dotyczył Thea, ale rozmawiały szeptem i Alice, ku swej ogromnej irytacji, nie mogła usłyszeć, co mówiły. Zanim się ktokolwiek zorientował, niania Rose znikła, a na jej miejsce wezwano z powrotem nianię Bruen. Alice miała nadzieję, że nigdy więcej nie zobaczą tej starej megieri z zarostem na brodzie i nieodłączną butelką oleju rycynowego. Czuła nawet odrobinę osobistej dumy, kiedy podsłuchiwała, jak babcia deShiel komentowała, że to niesforne zachowanie Alice do reszty złamało ducha starej biedaczki. A teraz Bruen wróciła, w dodatku jeszcze bardziej zrzędliva niż przedtem.

Alice cały czas rozpamiętywała stratę niani Rose, kiedy zdała sobie sprawę, że nie jest sama. Usłyszała za plecami trzask pękającej gałązki, wyprostowała się szybko i odwróciła.

– Och, pan Llewellyn! – wykrzyknęła na widok zgarbionej sylwetki ze sztalugami pod pachą i dużym szkicownikiem przyciśniętym niezdarnie z drugiej strony. – Przestraszył mnie pan.

– Przepraszam, moja droga Alice. Chyba sam nie zdawałem sobie sprawy, jak cicho się podkradam. Miałem nadzieję, że utniemy sobie małą pogawędkę.

– Teraz, panie Llewellyn?

Mimo całej sympatii dla staruszka Alice walczyła z falą zniecierpliwienia. Czy on nie rozumiał, że minęły bezpowrotnie czasy, kiedy siedziała obok niego i przyglądała się, jak rysuje; gdy pływali razem łódką unoszącą się leniwie z prądem; polowali na wróżki, a ona zwierzała mu się ze swych dziecięcych sekretów? Nie można zaprzeczyć, że był kiedyś w jej życiu bardzo ważną osobą, najbliższym przyjacielem, zwłaszcza kiedy była mała, później zaś, kiedy stawiała pierwsze pisarskie kroki, nieocenionym mentorem. Ileż to razy biegła, żeby mu pokazać swoje dziecięce opowiadanki nagryzmołone w przypływie natchnienia, a on recenzował je zawsze z wielkim przejęciem. Teraz jednak, gdy miała szesnaście lat, jej uwagę pochłaniały inne rzeczy, z których nie mogła mu się zwierzyć.

– Szczerze mówiąc, jestem trochę zajęta.

Jego wzrok powędrował w kierunku dziury w żywopłocie i Alice zapiekły policzki.

– Pilnuję przygotowań do przyjęcia – oznajmiła. – Mama każała mi nazrywać kwiatów – dodała szybko, kiedy pan Llewellyn uśmiechnął się w taki sposób, jakby dokładnie wiedział, kogo obserwowала i dlaczego.

Zerknął na rzucony koszyk, na kwiaty więdnące w południowym upale.

– Powinna już wracać do pracy.

– Oczywiście – powiedział i skinął głową. – W normalnej sytuacji nie ośmieliłbym się przeszkadzać ci w wypełnianiu tak ważnych obowiązków, ale muszę z tobą porozmawiać w pewnej istotnej sprawie.

– Niestety, nie mam teraz ani jednej wolnej chwili.

Pan Llewellyn wyglądał na głęboko rozczarowanego i Alice pomyślała, że chodzi ostatnio dość markotny. Może nie całkiem osowiały, lecz roztargniony i smutny. Zauważyła krzywo zapiętą satynową kamizelę i wymiętą chustkę na szyi. Zrobiło jej się go żal i aby zatuszować swoje zachowanie, wskazała głową szkicownik.

– Jest bardzo dobry.

To była prawda. Nigdy przedtem nie widziała, żeby pan Llewellyn rysował Thea, podobieństwo aż było w oczy – pulchne, niemowlęce policzki, pełne wargi i okrągłe, ufne oczy. Kochany pan Llewellyn zawsze umiał dostrzec w innych to, co najlepsze.

– Może spotkamy się po podwieczorku? – zaproponowała, uśmiechając się zachęcająco. – Zanim rozpocznie się przyjęcie?

Staruszek przycisnął szkicownik do piersi, rozważając jej propozycję, po czym lekko zmarszczył czoło.

– A może wieczorem przy ognisku?

– Przyjdzie pan?

To była niespodzianka. Pan Llewellyn nie należał do osób towarzyskich i zwykle za wszelką cenę unikał tłumów, zwłaszcza ludzi, którzy koniecznie chcieli go poznać. Bardzo lubił mamę, lecz nawet jej nigdy dotąd nie udało się go zwabić na przyjęcie świętojańskie. Jak zawsze na honorowym miejscu zostanie wyeksponowane pierwsze wydanie *Magicznych drzwi Eleanor* i ludzie będą się prześcigać, by poznać autora. Nic ich nie mogło powstrzymać przed klękaniem przy żywopłocie i wypatrywaniem ukrytego kapitelu kamiennej kolumny.

– Popatrz, Simeonie, widzę go. Mosiężny pierścień, dokładnie taki jak w książce!

Nie wiedzieli, że wejście do tunelu zostało zamknięte wiele lat temu przed takimi właśnie ciekawskimi badaczami.

W innych okolicznościach Alice postanowiłaby zbadać tę sprawę dokładniej, lecz po drugiej stronie żywopłotu rozległ się męski śmiech, a po nim wesołe wołanie:

– Ja będę dalej nosił, Adamie, idź z tatą na śniadanie, nie ma potrzeby dźwigać ich wszystkich naraz!

I Alice przypomniała sobie, po co tu przyszła.

– Dobrze – powiedziała. – W takim razie wieczorem na przyjęciu.

– Powiedzmy o wpół do dwunastej w altance?

- Tak, tak.
 - To bardzo ważne, Alice.
 - O wpół do dwunastej – powtórzyła trochę zniecierpliwiona.
- Przyjdę.

Mimo to pan Llewellyn nadal nie odchodził, jakby z tym poważnym, melancholijnym wyrazem twarzy przyrósł do miejsca, i patrzył na nią, jakby się chciał nauczyć jej rysów na pamięć.

- Panie Llewellyn?
- Pamiętasz, jak popłynęliśmy łódką w urodziny Clemmie?
- Tak, pamiętam – odparła. – To był piękny dzień. Wspaniała wyprawa.

Alice wymownym gestem schyliła się po koszyk stojący na stopniach fontanny i pan Llewellyn musiał zrozumieć aluzję, ponieważ kiedy się wyprostowała, już go nie było.

Poczuła ukłucie nieokreślonego żalu i westchnęła głośno. To pewnie dlatego, że jest zakochana, robiło jej się żal wszystkich ludzi, którzy nie czuli tego co ona. Biedny stary pan Llewellyn. Kiedyś widziała w nim prawdziwego czarodzieja, teraz tylko zgarbionego, smutnego człowieka, przedwcześnie postarzałego, tkwiącego w niewoli wiktoriańskich obyczajów, z którymi nie chciał się rozstać. W młodości przeżył silne załamanie nerwowe, co miało pozostać tajemnicą, lecz Alice wiedziała wiele rzeczy, których nie powinna wiedzieć. To się wydarzyło, kiedy mama była małą dziewczynką, a pan Llewellyn przyjacielem jej ojca, Henriego deShiela. Porzucił życie zawodowe w Londynie i wtedy właśnie napisał *Magiczne drzwi Eleanor*.

Alice nie wiedziała, co wywołało jego załamanie. Na wpół świadomie doszła teraz do wniosku, że powinna to bliżej zbadać. Ale nie dzisiaj, dzisiaj nie ma czasu na przeszłość, skoro po drugiej stronie żywopłotu czeka na nią przyszłość. Kolejny rzut oka potwierdził, że Ben jest sam i zbiera swoje rzeczy, żeby wrócić przez ogród na drugie śniadanie. Pan Llewellyn błyskawicznie wywietrzył jej z pamięci. Podniosła głowę i napawała się blaskiem słońca, które

pieściło jej twarz. Jakaż to radość być sobą, tu i teraz. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że ktoś mógłby się czuć szczęśliwszy. W końcu po chwili wsunęła manuskrypt pod pachę i ruszyła w kierunku moło, odurzona ponętym uczuciem, że jest młodą dziewczyną stojącą u progu roziskrzonej przyszłości.